

Esej zatytułowany „Znicestwienie Polski” ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” w marcu 1998 r., a następnie został włączony do książki „Książka na manowcach”.

## Znicestwienie Polski (fragmenty)

Ks. Józef Tischner

(...)

### **Połączalności siła**

Kluczem do rozumienia istoty narodu-ojczyzny (dwa te pojęcia u Norwida często się na siebie nakładają) są słowa: „połączalności siła”. Czytamy: „...naród składa się nie tylko z tego, co wyróżnia go od innych, lecz i z tego, co go z innymi łączy... i ta łączalności siła nie jest wcale żadnym ustępstwem, a tym bardziej uszczerbkiem, ale owszem, przymiotem zupełności charakteru i własnością dodatnią”. Tak bowiem się dzieje, że „...osobistość na samotność wydalona nie jest jeszcze pełną, i dopiero przez obcowanie z osobistościami innymi wydojrzewa na właściwą istotność”.

Norwid zdecydowanie wykracza poza etniczne pojęcie narodu. Narody zamknięte, pielęgnujące w sobie świadomość własnej „inności”, wywyższające się poprzez poniżanie innych, nie są narodami „dojrzałymi”. Brakuje im spojrzenia obiektywizującego – spojrzenia z zewnątrz, brakuje samokrytycyzmu. „Wydalone na samotność” słabną, ponieważ pozbawiają się „siły łączalności”, czyli zdolności do dialogu z innymi. Norwid jest bodaj pierwszym u nas konsekwentnym przedstawicielem koncepcji ojczyzny-narodu jako rzeczywistości dialogicznej. Cały jego spór ze współczesnym mu pojmowaniem polskości jest wynikiem krytyki monologicznego ujęcia narodu – ujęcia, wedle którego, aby Polak był Polakiem, powinien tylko z Polakiem obcować.

Jeśli polskość posiada naturę dialogiczną, a nie monologiczną, to znaczy, że „inny” – Żyd, Niemiec, Ukrainiec, Rosjanin – nie dołącza się do niej jako czysto zewnętrzna przypadłość, ale stanowi jej rdzeń. Aby Polak był Polakiem, potrzebuje „innego” jako partnera dialogu. Świadomość tożsamości rośnie w ludziach w miarę, jak tożsamość ta jest uznawana i podziwiana przez „innych” (dobrą, choć tylko częściową ilustracją tej prawdy może być najnowszy rozwój ruchu regionalnego na Podhalu. Otwarcie granic, a nawet emigracja do

Stanów nie zabiły tego ruchu, lecz na nowo go uskrzydliły). W oczach „innych” odkrywa się siebie – własną wartość i godność własnej kultury. Wtedy też ten „inny” nie jest już „obcym”, którego trzeba poniżać, ale częścią własnej tożsamości, własnej „substancji etycznej”.

Oczywiście, aby wartości zostały przez innych uznane, muszą już wcześniej być wartościami. Człowiek, który nie zadba o to, żeby być nosicielem wartości, rzeczywiście skazuje siebie na „znicestwienie”.

Wartością podstawową, o którą toczył bój Polak minionego stulecia, była wolność. Także wolność może być ujmowana dwojako: monologicznie i dialogicznie. Nie miejsce tu i nie czas, by robić przegląd „liberalizmów monologicznych”, jakie pojawiały się wówczas w Europie. Ale hasłem polskich ruchów niepodległościowych było: „Za naszą wolność i waszą”. Polacy byli liberałami, mieli w Europie taką opinię, ale ich liberalizm miał jednak własną twarz. Liberalizm dialogiczny od monologicznego dzieli przepaść. Wychodzi się z głębokiego przeświadczenia, że „moja” wolność nigdy nie będzie wolnością dojrzałą bez wolności „innego”. Wolność należy do takich wartości, które musi się dzielić z innymi. Wolność „wydojrzewa”, przechodząc najpierw od Ja do Ty, potem od Ty do Ja, a następnie od Ty i Ja do My. Zwieńczeniem wolności jest My. Wolność nie ma w sobie nic z egoizmu, indywidualizmu i subiektywizmu. Wręcz przeciwnie, przynależy ona wprost do „substancji etycznej” człowieka i jego wspólnoty. Jak można wymagać od ludzi wierności dla wartości, jeśli się nie uzna, że są wolni? Dopiero za taką wolność – „naszą i waszą” – można poświęcić życie. Któż by kiedy umierał za wolność „monady bez okien”?

Norwid był także jednym z nielicznych, który rozpatrywał wówczas polską „substancję etyczną” poprzez pryzmat pracy. O pracy mówił, że jest „czynnym myśleniem”. Pięknie ją porządkował: na dole piramidy pracy chłopak rozwożący nawóz na roli, a u jej szczytu „rzemiosło artysty” jak jakaś „modlitwa anioła”. W określeniu „czynne myślenie” akcent raz pada na czynność, a raz na myślenie. Myślenie stało się perspektywą jutrzejszego rozwoju pracy. Coraz mniej było w pracy „potu rąk”, a coraz więcej „potu czoła”. Także praca miała znaczenie etyczne. To przede wszystkim ona miała się stać ucieleśnieniem „połączalności siły” – siły, która nie tylko łączy wieś z miastem, ale również narody z narodami. Praca jednoczy. Jednoczy, bo łączy rozdzielone części w organiczne całości, i stwarza okazję do powstania społecznej wdzięczności. Owoc pracy jest owocem dla ludzi. Im lepsza praca, tym większa wdzięczność. (...)

W nurcie tradycji norwidowskiej mieści się także myśl o ojczyźnie Karola Wojtyły, a potem Jana Pawła II. Nie ma w niej już tych krytyk polskości, jakie są u Norwida. Mamy jednak bezustanne przypominanie etosu i kultury, która jest jego mieszkaniem. Słynne stały się słowa wypowiedziane w UNESCO (1980 r.): „Jestem synem narodu, który przetrwał najstraszliwsze doświadczenia dziejów, którego wielokrotnie sąsiedzi skazywali na śmierć – a pozostał przy życiu i pozostał sobą. Zachował własną tożsamość i zachował pośród rozbiorów i okupacji własną suwerenność jako naród – nie biorąc za podstawę przetrwania jakichkolwiek innych środków fizycznej potęgi jak tylko własna kultura, która się okazała w tym przypadku potęgą większą od tamtych potęg”.

### **Na samotność wydani**

Jeśli w przypadku dialogicznej koncepcji narodu-ojczyzny podstawą świadomości narodowej były wartości wypracowane w dialogu z „innymi” i skryształowane pod postacią kultury, to w przypadku, który teraz bierzemy pod uwagę, podstawę stanowią wartości dane człowiekowi przez naturę; dialog ma tu znaczenie drugorzędne i jest zazwyczaj dialogiem „ze swoimi”. Z dwu słów: „ojczyzna” i „naród” na plan pierwszy wysuwa się „naród”. Oto okazuje się, że „naród” jest skarbnicą nieprzemijających wartości, które ujawnią się, byleby mu „obcy” nie przeszkadzali. Wśród tych wartości pojawiają się również treści etniczne, takie jak „krew”, którą „ojcowie przelewali”, a także „przekazywali dzieciom”.

Takie rozumienie „narodu” wywodzi się z czasów romantyzmu. Ma wielu patronów, m.in. Adama Mickiewicza (przynajmniej w niektórych jego wypowiedziach). W paryskich wykładach z literatury słowiańskiej Mickiewicz odpowiadał na pytanie, jaki ustrój i jakie prawa będzie miała Polska po odzyskaniu niepodległości: „...jak okazują dzieje Polski, lud ten dążył zawsze do zaprowadzenia rządu, do stworzenia społeczeństwa kierującego się wewnętrznym popędem i dobrą wolą... Dodam jeszcze, że najlepiej urobić sobie można wyobrażenia o stanie władz w naszym kraju, czytając niektóre karty dzieła Swedenborga, gdzie mówi o krainie duchów: »Jest to królestwo, gdzie nie masz praw pisanych – powiada – to królestwo, gdzie duchy zawsze są w pogotowiu wymieniać wzajemne usługi, korzystać w każdej chwili z nowych, nieustannie się zmieniających związków i odnosić z nich pożytek«. I nie bez przyczyny filozof polityczny Królikowski powiedział śmiało, że w przeznaczeniu przyszłej Polski jest nie mieć praw pisanych. Gdyby tylko te słowa wyrzekł, już by miał zaszczytne miejsce wśród polskich pisarzy”. Pogląd Mickiewicza jest polityczną interpretacją

romantycznego „miej serce i patrzaj w serce”. Tym, co Polak dziedziczy po ojcach, jest przede wszystkim „czyste serce”.

Korzeni jest jednak więcej. Ostatnio często wspomina się Romana Dmowskiego i niektórych jego współpracowników. Są jednak również liczne znaki wpływów ideologii Bolesława Piaseckiego, założyciela Paksu. Ideologia Piaseckiego – zaakceptowana przez komunistów i osobiście przypieczętowana przez gen. Sierowa z NKWD – proponowała polskim katolikom włączenie się w „postępowy nurt wydarzeń” i daleko idącą współpracę z komunistami w zamian za pewne możliwości działania w sferze kultury. Współpraca ta miała polegać na „potrójnym zaangażowaniu”: zaangażowaniu socjalistycznym, narodowym i religijnym. „Zaangażowanie” wiązało się z koniecznością odpowiedniego „przykrojenia” świadomości narodowej i wiary katolickiej do wymagań marksizmu i potrzeb politycznych partii. „Naród” nie mógł być rozumiany jako rzeczywistość dialogiczna, ponieważ prawo do dialogu z „innymi” miała wyłącznie partia, był więc tym bardziej traktowany „naturalistycznie”. Podstawą polskiej tożsamości są przede wszystkim „dary natury”, głównie „pochodzenie”. Jeśli czasem „prawdziwy Polak” potrzebował potwierdzenia „tożsamości naturalnej”, to dokonywało się to w sporze z „obcymi” – z Niemcami, którzy czyhali na ziemię zachodnie, z Żydami, którzy byli jawnymi lub ukrytymi syjonistami, z Ukraińcami, którzy chcieli zagarnąć... Krynicę. Był też polski „wróg wewnętrzny”: na przykład „rząd londyński”, który doprowadził do wybuchu Powstania Warszawskiego, i „wichrzyciele”, którzy periodicznie naruszali pokój wewnętrzny „narodu budującego socjalizm”. Spór ten ułatwiał życie komunistom wedle zasady „dziel i rządź”.

Innym czynnikiem łączącym „piasecczyznę” z komunizmem była pogarda dla demokracji. Pierwsi mieli „instynkt państwowy” – instynkt mocnej władzy centralnej, drudzy – „dyktaturę proletariatu”, ale wnioski praktyczne były wspólne: tępić „liberałów”, gdziekolwiek się pojawią. Niezależnie od okoliczności, od „obcych” i „przeciwników”, którzy mogli się zmieniać, niezależnie od stopnia lojalności wobec partii czy frakcji partyjnej, jedno wciąż się powtarzało: „czyste serce”. Polacy to ludzie o „czystym sercu”, którym nie potrzeba „praw pisanych”, bo sami – patrząc w serce – wiedzą, kogo głaskać, a kogo bić.

Na straży „czystego serca” stał „polski katolicyzm”. Ale i tu konieczne stało się jakieś okrojenie. Z katolicyzmu odpadła etyka społeczna, ponieważ życie społeczne zostało oddane w zarząd komunistów. Pozostało „serce”, które – często z tym większym oddaniem – pielęgnowało „wartości chrześcijańskie”. Które? Z tym było różnie, w zależności od sytuacji.

Od pewnego jednak czasu – zwłaszcza po upadku komunizmu – na pierwszym miejscu znalazły się wartości „polskiej rodziny”. To także mieściło się w wyjściowej koncepcji narodu jako „daru natury”. Dalszą konsekwencją była „obrona życia nienarodzonych”. W tym punkcie spotkały się inspiracja religijna z narodową i z duszpasterskimi wysiłkami Kościoła. Kościół widząc, że dawny „odstępca” stał się (głównie w sprawie „obrony życia” czy walki z pornografią) jego sprzymierzeńcem, przymknął oczy na inne aspekty jego „doktryny”. Na tym tle doszło do zbliżenia, a nawet pewnego zapomnienia przewinień. Wiara w „czyste serce” przeważyła – zresztą mimo sygnałów ostrzegawczych. Dopiero ostatnio – zwłaszcza w związku ze sprawą „wejścia do Europy” i wyczynami środowisk związanych z Radiem Maryja – dochodzą do głosu istniejące już wcześniej fundamentalne różnice. (...)

A co z pracą? Dla Norwida praca była tą dziedziną życia, w której najwyraźniej ukazywała się „siła łączalności” narodu, tworzącego w rozmowie z „innymi” swą kulturę. Choroba polskiej pracy w dobie socjalizmu na tym polegała, że przestała łączyć, a zaczęła dzielić. Stawała się monologiem. Miejsce pracy było najczęściej miejscem marnowania surowca, energii, czasu, ludzkich sił i talentów. Pozorne produkty tylko pozornie zaspokajały realne potrzeby. Fikcją stawała się również zapłata za pracę.

Podjęta po upadku komunizmu reforma pracy nie mogła się jednak obejść bez bólów; nie wszystko może się odbywać ze znieczuleniem. Jak zareagowało na reformę „patriotyczne czyste serce”? Zareagowało wedle „zaangażowania socjalistycznego” i wedle zakorzenionych uprzedzeń do liberalizmu. Nagle dowiedzieliśmy się, że to nie komunizm zniszczył polską gospodarkę, ale liberalni reformatorzy. Bezrobotny, emeryt i rencista stali się – obok nienarodzonego dziecka – symbolami zniszczeń, dokonywanych przez „liberałów” i wszystkich, którzy poszli z nimi na kompromis. Apokalipsa komunistycznego systemu pracy okazała się niczym wobec apokalipsy podjętej reformy pracy. (...)

## **Znicestwienie**

Polska świadomość narodowa stanęła wobec nowego wyzwania. Zaczynamy wchodzić w strukturę Unii Europejskiej. Trzeba się wznieść na nowy poziom dialogu. Trzeba to zrobić, opierając się na historii – na tkwiącej w polskiej tradycji „łączalności sile”, na tym, że „za waszą i naszą sprawę”... Ale postawiona w obliczu tego wyzwania polskość uległa dziś wyraźnemu rozszczepieniu. Z jednej strony rysuje się droga potwierdzenia polskości w wymiarze dialogicznym, z drugiej – negacja dialogu, a potwierdzenie wymiaru

monologicznego i naturalistycznego. Z jednej strony polskość, która widzi w nowym wyzwaniu przedłużenie własnej historii i mówiąc mu „tak”, mówi „tak” samej sobie; z drugiej – polskość, która w wyzwaniu tym węszy niebezpieczeństwo i mówi mu zdecydowane „nie”. Z jednej strony polskość, która w globalizacji widzi szansę wzbogacenia form społecznej komunikacji i chce się w nią włączyć twórczością własnej pracy; z drugiej – polskość, która grozi światu, że doprowadzi do zniszczenia „nowego porządku”. Z jednej strony polskość pojednania przeciwieństw: życia pod jednym dachem wielu narodowości, wielu wyznań i kultur; z drugiej – polskość nieuleczalnie skłócona, wyłaniająca ze swego łona wciąż nowe „koczowiska polemiczne”. Z jednej strony polskość dynamicznej gospodarki, z drugiej – polskość permanentnie „chorej pracy”. Z jednej strony polskość chyląca czoło przed ofiarą „za waszą wolność i naszą”, z drugiej – polskość „ucieczki od wolności”.

Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności tak się dzieje, że pierwsza polskość milczy o samej sobie; nie ma dziś dyskusji, w których polskość ukazałaby swe wielkie i godne szacunku oblicze, nie ma jasnej i wyraźnej samowiedzy polskości jako „połączalności siły”. Natomiast druga polskość mówi. Mówi wiele i głośno. Im bardziej widzi swą przegraną, tym głośniej krzyczy. Ale im głośniej krzyczy, tym bardziej jawna staje się jej głupota. Czyżby takie skojarzenie miało się utrwalić – co mądre, to nie polskie, a co głupie, to polskie? Czyżby młody mieszkaniec naszego kraju był skazany na widzenie prawdy o swym narodzie wyłącznie poprzez pryzmat słowa „nie”, rzucanego w oczy wyzwaniom naszych czasów? A gdyby przypadkiem on sam zechciał wyzwaniu powiedzieć „tak”, to czyż powinien uwierzyć, że przestał być Polakiem, a stał się „Europejczykiem”?

Norwid mówił: „Znicestwić narodu nikt nie podoła bez współdziałania obywateli tegoż narodu...” Norwidowskie „znicestwić” znaczy nie tylko „unicestwić”, ale również „zmarnować”, „zaprzepaścić”, „opróźnić” i sprawić, że „spełnie na niczym”. Różnymi drogami biegnie marnotrawienie wielkich wartości. Wartości marnotrawią ich przeciwnicy, gdy dowodzą, że nie są one wartościami. Robią to jednak również zwolennicy wartości, gdy przemieniają je w karykaturę, w parodię, w pośmiewisko. W tę właśnie stronę idzie dziś „znicestwienie narodu”. Nie przeciwnicy, lecz zwolennicy „znicestwiają naród”. Nasze myślenie, przedstawiające się jako „narodowe”, stało się rzadkim przykładem bezmyślności. (...)